

Marcin Cielecki: Ludzie na moście

Emocje, urazy zapiekłe, kto z kim oraz kto z kim nigdy nie, ojczyzna wyśniona i ojczyzna realna, szaleństwo słów wypowiedzianych bez odpowiedzialności: portret zbiorowy ludzi na moście. Z tej rozmowy, trwającej około trzech minut, nie zachował się żaden wiarygodny stenogram. Jedynie jej echo: 215 zabitych żołnierzy, 164 cywili. Rannych w mundurach 606, rannych bez mundurów 314 – pisze Marcin Cielecki, recenzując książkę Andrzeja Chwałby „Maj 1926. Zamach, którego miało nie być”.

Kluczowy pojedynek nie odbywa się w samo południe, lecz gdy dzień, już nabrzmiały od znaczeń, chciałby wrócić do domu. Powiedzmy: godzina 17. Dzień ewidentnie ciąży w stronę swojego końca, ale wieczór jeszcze się nie zaczyna. Godzina, w której można podjąć decyzje ostateczne i bohater dokona przemiany, stając tym, kim stać się ma. Stanisław Wojciechowski zostanie prezydentem, Józef Piłsudski zostanie zamachowcem. Pierwszy pójdzie w zapomnienie, drugi na cokoły pomników. Rozmowa na moście Poniatowskiego 12 maja 1926 roku ma wszystkie cechy westernowego pojedynku, odbywa się jednak w Polsce i stygmat romantyzmu wpycha go w odrębną wariację. Przed wszystkim obydwaj przeciwnicy są we własnych oczach tymi dobrymi. Pomiedzy nimi nie padają strzały – wyręcza ich stolica, a Polska dzieli się na dwie części. I na koniec: z tego pojedynku wydaje się, że wszyscy wyszli pokonani. A przynajmniej tak to widać w setną rocznicę zamachu majowego.

Rewolwer narodowy

„Zamach, którego miało nie być” – głosi podtytuł najnowszej książki Andrzeja Chwalby. Rozgryzam ten zwrot i jestem w rozdarciu: pozostaję na moście. To przede wszystkim świetny zwrot, który przykuwa uwagę czytelnika. Gdyby Chwalba napisał „zamach, którego mogłoby nie być” – korzystając z giętkości polszczyzny podkreślił ten wariant możliwości, że nic nie jest jeszcze przesądzone – zgodziłbym się jednoznacznie i zdecydowanie przeszedł przez most. Choć Chwalba skrupulatnie przedstawia rozkazy, odwroty i mijania się wojsk polsko-polskich, to cała rzecz rozgrywa się w świecie nie do końca jednoznacznym. Na płaszczyźnie emocji, urazy zapiekłej, ojczyzny wyśnionej i ojczyzny rzeczywistej. Nic dziwnego, że w sprawie napisanym „Maju 1926” czytelnik będzie raz po raz zmieniał okulary do czytania. Raz sięgnie po szkiełko i oko badacza faktów, innym razem po lunetę, by spojrzeć dalej, poprzez dzieje, jakby dostrzec się chciało tajemne prawidła, algorytmy odwieczne rządzące Polską. Miało nie być czy mogłoby nie być – rozterki na poboczu historii, uwagi czytelnicze na marginesie lektury.

Świetnie chwyta Chwalba istotę rzeczy, gdy stwierdza, że zamach majowy z 1926 roku drzemie w wydarzeniach wcześniejszych. Dla Piłsudskiego zwrotnicą dziejów było zabójstwo pierwszego prezydenta II RP Gabriela Narutowicza. Historyk celnie zauważa (choć chciałoby się, aby poświęcił temu dłuższe rozważania), że w momencie zaprzysiężenia Narutowicza zderzyły się dwie wizje ojczyzny: Polska narodowa i Polska obywateli. Pierwsza podkreślać miała katolicyzm i swoją wyższość wobec innych narodowości zamieszkujących kraj. Polak-katolik oraz polonizacja mniejszości narodowych to nie są obce myśli temu kierunkowi. Po drugiej stronie zepchnięci zostali ci, którzy

niezależnie od pochodzenia mieli te same prawa i możliwość współdecydowania o losie państwa. Jeśli nie brzmi nazbyt czytelnie ten podział, to należy zapisać go jeszcze tak: Polska krwi, tak mistycznej, jak i narodowej, złączona unią z romantyzmem kontra Polska praw i pozytywizmu. „Myśmy z tego, co nas boli” kontra „przyszłość jest przed nami”. Prawica przegrała walkę o prezydenta i została jej ulica. Wybór Narutowicza, postrzeganego jako obcego Polsce katolickiej i narodowej, nie powinien się wedle niej wydarzyć.

Zabójstwo pierwszego prezydenta wstrząsnęło Piłsudskim. Wraz z narracją Chwalby czytelnik obserwuje zmiany, jakie zaszły w osobowości Komendanta. Obwinił siebie za jego śmierć, publicznie przyznawał, że to on powinien zginąć zamiast niego. W głośnym wywiadzie dla „Kurieru Polskiego” z 31 grudnia 1922 roku padły znamienne słowa: „żałuję, że Niewiadomski nie napisał do mnie. Byłbym z pewnością przyjechał do Baryczków po tę polską kulę; zgodnie z moim szczęściem byłaby mnie pewnie ominęła, ale w zbiorze kul do mnie zamierzonych byłaby jedyną narodową kulą polską!”. Od tego czasu ustawi się jednoznacznie przeciwko prawej stronie politycznej, choć nie będzie to oznaczało sympatii dla innych stronnictw. Raczej nastąpi tu ciekawy zwrot psychologiczny: Piłsudski żyjąc poczuciem winy za zmarłego, będzie uważał siebie za żywe oskarżenie. To od tego czasu zacznie pojawiać się coraz więcej i coraz cieplejszych słów pod adres Narutowicza, aż do kulminacyjnego: mój przyjaciel. Zabiliście prezydenta, mojego przyjaciela i nigdy wam tego nie zapomnę – będzie rzucał w prawą stronę za każdym razem, gdy tylko miał do tego okazję. Sam stanie się narodową kulą, która będzie czekać na swój rewolwer.

Cyncynat na wsi niespokojnej, wsi niewesołej

W 1923 roku Piłsudski przechodzi do cywila. Rezygnuje ze wszystkich funkcji państwowych i zostaje emerytem. Pod koniec roku będzie miał 56 lat, ale każdy ma świadomość, że przeżył kilka żywotów.

Tymczasowy Naczelnik Państwa pokojowo schodzi ze sceny, Polska ma swojego Cyncynata. Historia nad Wisłą wpada jednak w swoje wiry i przeplata to, co znane, z tym, czego nikt się nie spodziewał. Zamiast uprawiać rolę – będzie uprawiał żywe pole pamięci, zamiast milczeć – będzie eskalacją słów, zamiast być samotnikiem – stanie się alternatywnym centrum ojczyzny.

Zanim nastanie bitwa warszawska 1926 roku wpierw rozegra się jeszcze wojna o pamięć bitwy warszawskiej z 1920. Dodajmy od razu: o właściwą pamięć. Piłsudski zacznie pisać dużo, a im więcej tym mniej przebierając w słowach, że jedynym ojcem militarnego sukcesu jest on sam. Aby to zrobić, publicznie umniejsza znaczeniu innych postaci. Dowodów Chwalba na kartach „Maja 1926” przytacza wiele, a spośród nich najbardziej znaczące wydają się słowa, które wypowiedział w 1925 roku podczas zjazdu legionistów. Mówił: „Granica fałszu, fabrykowanego w Polsce, jest niesłychana. [...] Przewodniczyłem z musu w wielu obradach i każdy protokół z tych posiedzeń beczelnie fałszowano. Radzę przyszłym historykom nie wierzyć polskim protokołom! Gdym studiował i przygotowywał swoją książkę *Rok 1920*, w archiwach Sztabu nie znalazłem całego mnóstwa dokumentów, które były mi potrzebne, natomiast znalazłem fałszywe”. Chwalba zatrzymuje czytelnika, gdy stwierdza, że „były to bardzo poważne zarzuty, niemniej warto się zastanowić, dlaczego dopiero teraz Piłsudski je sformułował, przecież prace nad *Rokiem 1920* prowadził kilkanaście miesięcy wcześniej”. Ważne uchwycenie tego, co właśnie się

dokonywało: zainfekowanie społeczeństwa myślą, że nie ma jednej historii cudu nad Wisłą, że ma on kilka równorzędnych apokryfów, ale dotrzeć do prawdy już nie można. Jedyłą prawdą pozostaje on, ten który tam był, ten który odniósł zwycięstwo choć był otoczony miernotami, a imię jego Józef Piłsudski.

Skonfliktowany z generałami, rzucający oskarżenia na prawo, Piłsudski nie potrafi przejść na emeryturę. Wciąż przychodzi kiedy chce do Belwederu i komentuje na gorąco politykę państwa bezpośrednio przed prezydentem Stanisławem Wojciechowskim. Robicie błąd tu i tu, ma być tak i tak – dyryguje, krzyczy, poucza. Strażnicy go przepuszczają, otwiera drzwi także prezydent – jak nie wpuścić takiego gościa? Ale państwo musi być samodzielne i powoli pokazuje Piłsudskiemu, że człowiek, który nie pełni funkcji państwowych, nie może nim rozporządzać. Wojciechowski w listopadzie 1925 zmienia podejście do polskiego Cyncynata. Piłsudski od tej pory musi się umówić na spotkanie, tak jak każdy obywatel. Dla męża opatrnościowego to potwarz.

Szalony Marszałek i wódz pokrzywdzony

Chwalba prowadzi swoją narrację nieustannie wskazując, że zamachu można było uniknąć. Przytomnie zauważa, że nie ma żadnych zachowanych dokumentów wskazujących na planowanie takiego dużego i skomplikowanego przedsięwzięcia. Mało tego: relacjonując sam przebieg zamachu wskazuje, jak bardzo był on chaotyczny. Z drugiej strony, o czym wie każdy historyk, równie dobrze takie zapiski mogły zostać zniszczone. Gdyby jednak rekonstruować pisemne ślady, to wiernopoddańcza depesza garnizonu litewskiego wysłana do byłego dowódcy już w listopadzie 1925 roku, otwiera tę listę. Żołnierze zapewniali: „Ślemy ci, wielki rzeczniku honoru służby, wyrazy głębokiej

czci i bezgranicznego oddania, ślubując wytrwać w nieustającej walce pod Twoim przewodem o wielką, szlachetną i ofiarną Duszę Polską”. Gdyby nie znajomość dalszego biegu historii, można by nad tymi słowami wzruszyć ramionami. Czy Piłsudski, kreator dziejów, przeczytał je tak, jak my dzisiaj i dostrzegł swoją szansę, tego nie wiadomo. Wiadomo jednak, znając już fakty, że wyczytać z nich można wszystko to, co stało się istotą zamachu majowego. Oto właśnie żołnierze rekapitulują kryzys przysięgowy z 1917 roku, ale na swoją modłę, deklarując posłuszeństwo osobie, która nie jest nominalnym wodzem armii polskiej. Za Piłsudskim stała historia i legenda, które wszak rzutowały na terażniejszość. Dla współczesnych Komendant nigdy nie był postacią jednoznaczną. Jego przeciwnicy widzieli w nim „szalonego Marszałka”, który starym uporem nie chciał odejść na emeryturę. „Niesłychana mowa Piłsudskiego. Chyba kto dotychczas nie wierzył, to dziś uznać musi, że to dziś już tylko wariat. Bądź co bądź połowę narodu nazwać bandą, zgrałą, szajką, sobie przyznać zdolności, rozum i doświadczenie [...] to już wyraźna paranoja” – opinię Juliusza Zdanowskiego powtarzała nie tylko prawa strona sceny politycznej. Dla legionistów natomiast był wodzem pokrzywdzonym – odsuniętym na boczny tor przez nową władzę, dla której przelewał krew. Legioniści to zupełnie odrębna grupa w nowym społeczeństwie odrodzonej Rzeczypospolitej. Inwalidzi, bezrobotni i ich rodziny naznaczone stygmatem wojennych przeżyć, zatrzymani w poczuciu niedoceny, że choć walczyli o Polskę, to jednak nie o taką. Armia ludzi zbędnych. Gdy państwo polskie nie mogło zapewnić im utrzymania, to Piłsudski był ich ojcem, który nie zapomniał o swych dzieciach. Pisali doń listy z prośbą o pomoc, a on dwoił się i troił, załatwiał pracę, wspomagał finansowo. Sobie odmawiał, im dawał. Odwdzięczali się kurami, królikami, psami, lisami, rodowymi ryngrafami; wszystkim, co tylko mogli wyjąć z zanadrza swojej biedy. Piast Kołodziej w mundurze z wojny, co skończyła się na papierze, ale w sercach wciąż wyhamować nie mogła. Nie dziwi zatem ten obraz w istocie szokujący – spróbuj to

sobie wyobrazić, to przecież scena filmowa wręcz – że w maju 1926 roku część oddziałów staje przy boku Marszałka jak do defilady: z orkiestrą, z medalami przypiętymi do piersi.

Hamlet majowy

Emocje, urazy zapiekłe, kto z kim oraz kto z kim nigdy nie, ojczyzna wyśniona i ojczyzna realna, szaleństwo słów wypowiedzianych bez odpowiedzialności – oto portret zbiorowy ludzi na moście. Z tej rozmowy, trwającej około trzech minut, nie zachował się żaden wiarygodny stenogram. Jedynie jej echo: 215 zabitych żołnierzy, 164 zmarłych cywili. Rannych w mundurach 606, rannych bez mundurów 314.

Fascynujący jest raport, który kreśli Chwalba w czwartej części książki zatytułowanej „Po maju”. Żadna ze stron stojących na moście nie darzy już po wszystkim majowych Hamletów. Generał Sosnkowski rozdarty między wieloletnią przyjaźnią z Piłsudskim a przysięgą żołnierską, wybierze próbę samobójczą. Operacja uratuje mu życie, ale nie szacunek, ponieważ obydwie strony będą nim gardzić. Stojący na moście nie zająkną się na temat takich ludzi, jak pułkownik Więckowski, który w liście pożegnalnym uzasadniał swoje samobójstwo: „Rozkaz Komendanta iść za wszelką cenę na Warszawę – generała Romera powrót do koszar. Wybierajcie. Ja na swoje sumienie tego nie mogę wziąć. Jechać, nie jechać – wybierajcie sami. Ja nie mogę”. Majowego Hamleta nikt nie kocha, a ci, którzy kazali mu wybierać, nie patrzą już w jego stronę. Schizofrenia w jej specyficznym rodzimym odmianie będzie widoczna w dwojakich kondolencjach. Tym, którzy zginęli po stronie obrony konstytucji, pisano, że byli wierni

przysiędze Rzeczypospolitej. Tym, którzy zginęli przy Marszałku, pisano, że walczyli o pomyślność dla państwa. Wskazać tu różnicę, to zadanie z gwiazdką.

Rok 2026 czyta rok 1926

W „Maju 1926” udało się Chwalbie skrócić wielotomowe dyskusje i przedstawić napisaną lekkim piórem książkę pomiędzy jednym brzegiem mostu, a drugim. Nie opowiada się za żadną ze stron, za to zmusza do tego czytelnika. Dałem się temu sprowokować, sam to widzę, skoro wysupłałem na światło tę nić emocji snującą się w majowej opowieści. Chwalba zdaje się być wszędzie i zagląda do sztabu, słucha ulicy, zapisuje plotki z przyjęć, słyszy szemranie kościelnej nawy. I aż się prosi w trakcie lektury, aby przedstawić zamach majowy na bazie serialu opowiedzianego przez różne narracje. Aleksandra Piłsudska uprawiająca ogród z ukrytym w spódnicy rewolwerem, bo zawsze może ktoś zaatakować jej rodzinę, duch Narutowicza nawiedzający Marszałka z kulą na wyciągniętej do niego ręce, Wojciechowski poprawiający na swej głowie ulubioną maciejówkę, symbol legionów – teatr majowy widzę ogromny. Zasługą bodaj największą „Maja 1926” jest to, że Chwalba zdołał uchwycić jakiś przedziwny algorytm powtarzalności dziejów biało-czerwonych. Kilka razy musiałem przerwać lekturę i zastanowić się, czy to wciąż opis wydarzeń przeszłych, czy jednak rzecz zupełnie teraźniejsza. Oskarżenia jednej strony sceny politycznej o zabójstwo prezydenta, politycy, których nie stać na dojrzałą decyzję Cyncynata, powtarzanie, że dokumenty są fałszowane, a jedyna prawda leży w osobie, słowa rzucane jak zapalki przez piromana – jakbyśmy na zawsze pozostali w majowym słońcu.

W niniejszej czytelniczej refleksji istnieje wyraźny nadmiar jednego nazwiska kosztem drugiego. Nie jest to wyrazem moich sympatii, ale specyfika czytelniczych okularów. Fakty zostawiając Chwalbie, ja pragnąłem ruszyć ich poboczem, czyli traktem emocji zapiekłych, rąk na zawsze schowanych w kieszeniach. Pod odłożeniu „Maja 1926” zadałem sobie pytanie, ile w Polsce jest pomników Piłsudskiego, a ile Wojciechowskiego. Miażdżąca dysproporcja pokazuje, że przemyślenie zamachu majowego jest zadaniem wciąż pozostającym przed nami.

Andrzej Chwalba, *Maj 1926. Zamach, którego miało nie być*, Czarne, Wołowiec 2026.

Marcin Cielecki – ur. 1979, eseista, recenzent, nauczyciel; autor powieści „Archipelag Lewiatana” i dziennika eseistycznego „Dziedziniac pogan”.